

**Tomasz Biedrzycki**

**Otchłań  
Ganimedesa**

**Tomasz Biedrzycki**

# ***OTCHŁAŃ GANIMEDESA***

## **Otchłań Ganimesesa**

Copyright © by Tomasz Biedrzycki, Jelenia Góra 2012

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.

All rights reserved

Opracowanie graficzne okładki

Tomoyuki Uchida

[www.yunphoto.net](http://www.yunphoto.net)

Korekta

Łukasz Biedrzycki

Wydanie I

Jelenia Góra 2012

[www.tomaszbiedrzycki.pl](http://www.tomaszbiedrzycki.pl)

[ksiazki@tomaszbiedrzycki.pl](mailto:ksiazki@tomaszbiedrzycki.pl)

**4 kwietnia 2082 r.**

**Trzeci księżyc Jowisza Ganimedes. Stacja podwodna Międzynarodowej Organizacji Pokoju. (International Peace Organization-IPO)**

W ciemnościach niezmierzonej głębi wszechoceanu zabłysło silne, halogenowe światło kierunkowe, wyznaczające podejście do głównego hangaru kolonii. W miarę zbliżania się do niej, można było rozróżnić coraz więcej szczegółów. Ogromna stalowa kula unosiła się swobodnie w ciemnościach oceanicznej nocy. Jedynie gruby na czterdzieści metrów słup stabilizujący schodził w dół i nikł gdzieś w ciemnościach bezkresnej głębi. Dookoła stacji poruszała się chmara niewielkich pojazdów, wyglądających niczym setki mrówek krzątających się wokół mrowiska. Przy podstawie wężła stabilizującego błyskały wyładowania podwodnej spawarki, niosąc daleko w toń głośny warkot. Część powierzchni kuli uchyliła się i mrok toni rozświetliło mdłe niebieskie światło wydobywające się z niewielkiego hangaru. Niemal nie burząc spokojnej toni, pośród poświaty pojawiły się dwa wrzecionowate kształty. Ich pozycje zaczęło przyjmować kolor otoczenia, znacznie ciemniejąc. Żaden z nich nie posiadał światła pozycyjnych. Zostawiając za sobą ślad w postaci nieco cieplejszej wody, skierowały się wprost w stronę jasno oświetlonego, ciężkiego transportowca, płynącego w stronę kolonii. Do niedawna był to jeden z potężnych, dawnych drobnicowców, przerobiony na potrzeby przewozu najuboższych – imigrantów

uciekających z piekła kwaśnych deszczy i radioaktywnego opadu w które zamieniła się Ziemia. Przy niewielkich iluminatorach, które ciągnęły się wzdłuż głównego pokładu transportowca pojawiły się tysiące twarzy. Szczęśliwców, którym udało się zebrać osiemdziesiąt dwa tysiące zenithów na bilet Ziemia – Jowisz, w jedną stronę. Jeden z imigrantów odwrócił głowę od szerokiego, grubego iluminatora. Miał pociągłą, smukłą twarz, częściowo ukrytą pod okazałym zarostem. Silnymi ramionami utorował sobie przejście w gęstniejącym tłumie by dotrzeć pod wewnętrzną wręgę wznoszącą się niczym łuk w świątyni. Widział jak na jego miejsce natychmiast wpełzły się kilka osób, podobnie jak on, obdartych pozbawionych wszystkiego ludzi, pragnących odnaleźć swoją szansę. Z westchnieniem ulgi oparł się o chłodny metal konstrukcji i zamknął oczy, starając się nie słuchać okrzyków i wrzasków, jakimi nowo przybyli raczyli rozciągające się przed nimi widoki. Jakże ten świat był odmienny od zostawionej daleko Ziemi. Woda niby ta sama a jednak inna. Potężna stukilometrowa warstwa lodu doskonale zabezpieczała przed bombardowaniem meteorytowym, nawet teraz była ledwie widoczna w górze. Znikła groźba słonecznego promieniowania, która na Ziemi, ze zniszczoną do cna warstwą ozonową była śmiertelną pułapką. Martin spod przymkniętych powiek zerknął na siedzącego obok starego Ress'a. Siwy mężczyzna przysiadł na chwilowo wolnym stalowym krześle. Jego twarz została potwornie zniekształcona przez promieniowanie

ultrafioletowe. Przerażające, zasłonięte bielmem oczy, zniszczone przez chorobę, nie pozwalały staremu widzieć. A jednak przyjechał tu. Na Ganimesie, podobnie jak na drugim księżycu Jowisza, Europie, otwierał się dla ludzi nowy świat, pełen nowego życia, nowych szans i pozbawiony ziemskiej beznadziei. Martin miał to szczęście, że nie wywodził się ze skrajnej biedoty, do której zaliczała się większość współtowarzyszy podróży, Podróżował w takich warunkach, gdyż reszta rodziny znajdowała się właśnie w połowie drogi do Jowisza. I miał nadzieję, że gdy tu dotrą za dwa lata, będzie ich miał gdzie przyjąć. Dotknął ręką kieszeni na piersiach, tam gdzie trzymał swą przepustkę do normalnego życia na Ganimesie. Swój życiorys i licencję pilota łodzi podwodnych. Z głośnika umieszczonego pośrodku wielkiej hali, gdzie się znajdował, dobiegł głos kapitana „Stradivariusa”.

- Uwaga podróżni. Za moment podchodzimy do węzła cumowniczego w kolonii IPO „Odnowa”. Uprasza się o zabezpieczenie kajut. Najpóźniej za pięć minut należy zająć przydzielone fotele antywstrząsowe. Dziękuję za uwagę. – Martin otworzył oczy i wystartował niczym pocisk, by zdążyć przed tłumem, który ruszył niczym lawina z pasażu widokowego. W ostatniej chwili wskoczył do sekcji ciśnieniowej i odszukał wąską kajutę, przypominającą głęboki kosz na śmieci, w którym spędził ostatnie dwa miesiące. Tabliczka wyświetlacza z wypisanym nazwiskiem „Martin van Hansen” nie pozostawiała złudzeń, do kogo należała ta

smrodliwa nora. Chwycił swój niewielki bagaż, leżący w środku, zatrzasnął ciśnieniowy właz do kajuty i pognął w stronę kabiny pasażerskiej. Przydały się nawyki przyniesione z wojska. Martin zajął swoje miejsce w niewygodnym siedzisku jako jeden z pierwszych. Sala manewrowa zapełniała się błyskawicznie, a szum wentylatorów wzrastał, w miarę jak przybywało ludzi w twardych, wąskich fotelach. Hansen zaczął się zastanawiać dlaczego system wymiany powietrza czyni tyle hałasu a atmosfera gęstniała z każdą minutą. Również w pięć minut po ostrzeżeniu kapitana, wzdłuż korytarzy transportowca rozległ się jęk syren ostrzegawczych. Ogromnym kadłubem pojazdu zaczęły wstrząsać drgawki, wzbudzone przez dość gwałtowne manewry sterników. Każdy zdołałby wydedukować, że nie złapali się na lepszą fuchę właśnie z powodu swoich umiejętności. Martin zacisnął zęby gdy jeden z agresywniejszych manewrów spowodował, że żołądek podjechał mu do gardła. Na sali rozległy się odgłosy wymiotów, które spowodowały ich całą falę. Do zaduchu panującego w pomieszczeniu doszła jeszcze kwaśna, ohydna woń. W ciągu niecałych dziesięciu minut zapełniły się niemal wszystkie worki przy fotelach. Wreszcie rozległ się upragniony przez umęczonych pasażerów, daleki i przeciągły zgrzyt oraz narastające metaliczne postukiwania. Moment później wszystko ucichło a świetlówki, jarzące się do niedawna zielonkawym, słabym światłem, po podłączeniu do sieci elektrycznej ogromnej kolonii zabłyśły pełną

mocą. Zamknięte dla bezpieczeństwa drzwi ciśnieniowe, otworzyły się na całą szerokość, wpuszczając do sali manewrowej nieco świeższego powietrza. W głośnikach rozległ się głos kapitana, choć niewielu zmaltretowanych kolonistów zarejestrowało tę wypowiedź.

- Tu kapitan „Stradivariusa” Jack Brown. Dziękuję państwu za wspólny, tygodniowy rejs i życzę wraz z załogą powodzenia w nowym świecie. Zainteresowani mogą udać się do okrętowego punktu informacji. Chciałbym również ogłosić, że rozpoczynamy rekrutację do załogi „Stradivariusa”. Oczekujemy chętnych w mesie załogi od godziny 14 do 18 czasu okrętowego. – Gong oznajmił koniec monologu. Van Hansen ociężale podniósł się z miejsca a jego twarz stopniowo przyjmowała normalną barwę. Zachował honor, jego worek pozostał pusty, chociaż naprawdę niewiele brakowało... . Drżenie pokładu towarzyszące im przez cały czas pobytu znikło a wzdłuż ścian pojawiły się świecące ekrany wskazujące drogę do wyjść. Van Hansen ściskając niewielką czarną torbę w której miał cały dobytek, na miękkich nogach ruszył w tamtą stronę. Jak na dany znak hala pasażerska zaroiała się od setek pasażerów, wychodzących z kilku kabin manewrowych. Cały ten potykający się tłum zielonych jeszcze twarzy, przeciskał się stalowoszarymi korytarzami. Martin z uznaniem spoglądał na cztery pięciometrowej średnicy klapy wyjściowe, przez cały czas rejsu zamknięte na głucho. Gdy wchodził na „Stradivariusa”, był półprzytomny, świeżo zbudzony z hibernacji i marzył tylko o tym, by



położyć się w kajucie. Dopiero teraz mógł ocenić imponującą konstrukcję, wznoszącą się wysoko nad głową. Za potężnymi śluzami kusiłły szerokie, oświetlone korytarze. Daleko z przodu czekała jeszcze odprawa paszportowa a dalej kłębił się tłum gapiów i przechodniów. Martin szedł o zakład, że wśród tej kłębiącej się ciżby, której ubrania mieniły się wszystkimi kolorami tęczy, znajdowało się mnóstwo wszelakiej maści złodziei i naciągaczy. Cierpliwie odstał swoje dwie godziny i ściskając w rękę magnetyczną kartę stałego pobytu, wszedł w oszałamiający świat „Odnowy”. Ta znakomicie utrzymana stacja była wizytówką IPO oraz największego konsorcjum działającego na Ganimesedzie, Cygnus Corporation. Na Ziemi wielokrotnie czytał o nasilających się napadach piratów, którym sprzyjała bez wątpienia utrudniona łączność w głębinach Ganimesedesa ale wśród tłumu osób nie sposób było zauważyć niepokoju czy nerwowości tak powszechnej na zatłoczonych ulicach zatrutych miast Ziemi. Spodziewał się wąskich, stalowych kiszek a szedł szeroką, jasno oświetloną promenadą. Wątpliwości, które targaly nim od momentu opuszczenia ojczystej planety, gdzieś znikły. Jasne, zadowolone twarze przechodniów napawały optymizmem wysokiego bruneta. Zerknął na trzymany w rękę zwijany e-papier z faksem, otrzymanym w czasie lotu międzyplanetarnego. W oczy rzucało się opalizujące logo Vortex Corporation stylizowane na wir wodny. Zaprosili go na rozmowy, podczas gdy leżał w hibernacji. Z zamyślenia wyrwał go jakiś

obdartus, który błagalnie wyciągnął dłoń ku niemu. Van Hansen spojrział nań ze zdumieniem. Na Ziemi był to widok powszechny, ale tu nie spodziewał się tego samego. Od niechcienia rzucił jedną z ostatnich posiadanych przez niego monet, którą żebrak łapczywie chwycił i znikł gdzieś w tłumie. Martin potrząsnął głową. „Duma IPO i takie obrazki” pomyślał z ironią o przeczytanym gdzieś sloganie reklamowym i ruszył wprost w stronę szerokiego ekranu wyświetlającego dobrze mu znane logo Vortex. Przesłaniało część potężnej skalnej ściany, którą kończyła się promenada. Poniżej ekranu reklamowego widniały szerokie drzwi z przyciemnianego szkła. W tym miejscu musiały kosztować fortunę. Wyróżniały siedzibę korporacji spośród dziesiątek innych, standardowych drzwi z szarego metalu. Tłum ludzi rzedniał, niewielu kierowało się stronę szklanego wejścia. Gdy Martin wchodził do środka, towarzyszyło mu jedynie dwóch szczupłych, wysokich mężczyzn w starannie skrojonych garniturach. Ściskali czarne, niewielkie walizki i byli nieobecni wzrokiem, śpiesznie wędrując w czeluść ogromnego biurowca, rozciągającego się za wejściem. Hansen zatrzymał się zaraz w szerokim atrium, spodziewając się tłumu biegających wszędzie pracowników. Przywitała go cisza i zapach prawdziwych, ziemskich roślin. Trzy ogromne paprocie stały tuż obok oczka wodnego. W oddali widniały szerokie schody, gdzie podążyli towarzysze Martina. On sam skierował się w stronę portiera, siedzącego za marmurową ladą. Nienaganna fryzura, garnitur od

Armaniego kontrastowały z komicznym, znudzonym wyrazem pociągłej twarzy. Spod przymkniętych powiek obserwował van Hansena, który w swym znoszonym ubiorze rzucał się w oczy w bogatym wnętrzu.

- Słucham uprzejmie – bezbarwny, neutralny głos portiera nie zachęcał do konwersacji. Przybysz wyglądał na kogoś, kto nie ma grosza przy duszy.

- Do działu zatrudnienia – odpowiedział chłodno van Hansen, kładąc przed oczami swego rozmówcy, który nawet nie raczył wstać, faks z zaproszeniem na rozmowę z podpisem wicedyrektora oddziału korporacji. Jeden rzut oka spowodował, że portier podniósł się z wygodnego fotela i z uznaniem spojrzął na skromnie odzianego przybysza. Usłużnie wskazał drzwi wyłożone prawdziwym mahoniem i rzekł ciepło, wręcz przyjacielsko.

- Tędy proszę pana, drzwiami na wprost. Natychmiast powiadomię panią dyrektor o pańskim przybyciu – zmiana zachowania portiera zaskoczyła Martina. Bez słowa ruszył we wskazanym kierunku, słysząc w tle cichą rozmowę swego niedawnego rozmówcy. Chwycił za klamkę, otworzył lekkie drzwi i przekroczył próg, znajdując się w innym świecie. Szeroki korytarz oszałamiał lekkością. Półprzezroczyste ściany wydawały się unosić nad jasną podłogą wyłożoną samo odkurzającą się wykładziną. Nie miał jednak czasu podziwiać otoczenia, gdyż z końca odezwał się miękki alt dyrekcji.

- Martin van Hansen? – emigrant machinalnie skinął głową, taksując wzrokiem filigranową sylwetkę Azjatki w gustownie skrojonym kostiumie. Jasna cera, ogromne oczy i smukłe nogi wzbudziły w van Hansenie głębokie zdumienie. Natłok wrażeń poczynił go miazdżyć niczym ciśnienie wody. Nigdy nie był w takich miejscach na Ziemi – o ile w ogóle istniały, w co zaczynał wątpić. Serdeczny, acz stonowany uśmiech pani dyrektor ośmielił Martina. Gest delikatnej dłoni zaprosił do niewielkiego ale gustownie urządzonego gabinetu. Nie mógł oderwać oczu od smukłej sylwetki kobiety, choć miała dobrze pod czterdziestkę. Utrzymanie wyglądu dwudziestolatki musiało kosztować fortunę. Kobieta usiadła za szerokim biurkiem i ze śnieżnobiałym uśmiechem wskazała szeroki, wygodny fotel wykładany nieznanym Hansenowi materiałem. Usiadł w nim, stwierdzając w myślach, że bez wątpienia był to najwygodniejszy mebel, na kiedykolwiek siedział.

- Witamy serdecznie na Ganimesdesie – za rozmówczynią emigranta ściana zmieniała się w szeroki ekran. – Nazywam się Lane Derways i muszę przyznać, że niecierpliwie czekaliśmy tu na pana... – słuchał jej z rosnącym zaskoczeniem. Na Ziemi jedyną pracą na jaką mógł liczyć, był robotnik stoczniowy, mimo kursów, studiów i uprawnień. Takie wnętrza i takie kobiety co najwyżej oglądał w telewizji kablowej. Zapadła na chwilę cisza zaniepokoiła kobietę.

- Chyba się pan nie rozmyślił...? – zawiesiła głos uważnie spoglądając na Martina, którego twarz to bladła, to nabierała

## SPIS TREŚCI

4 kwietnia 2082 r. ....	4
7kwietnia 2082 r. ....	30
4 maja 2082 r. ....	37
4 maja 2082 r. godz. 8.00.....	38
16maj 2082 r. ....	77